

RYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 78.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, ^{II}/₂₃ marca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

NUMERU.

ady (z drzeworytem). — Kro-
— Autobiografia barona Ga-
zema drzeworytami). — Jan
ha (dokończenie). — Ruch
Galicyi. — Atenczyk, poe-
ndencya od redakcyi. — Za-
szląskim (z dwoma drzewo-
tebus.

ŚMIERĆ WANDY.

(obraz Piotrowskiego.)
Wiek spojrzę na roz-
maki malarskiej w osta-
zasach, łatwo zauważy
kim krokiem zmierz-
epu. Po wysileniach
Dawida, nastąpił
zwrot, nazwany ro-
m; puszczono się
ość z zapalem i wia-
rodzielne wnikięcie
nego ducha i przeszłość
czna, uwiecznione już
o tu i owdzie pomysłnym
Zdobyto się na no-
y, nowe formy ich
a ciasny zakres
erzył się do rozmia-
ych i czysto ludz-
To rzecz ogólna.
jeszcze jeden fakt,
wypływem poprze-
dający, ale jak dla
niej ważny, ani mniej
wy; faktem tym jest, że
si nasi, kształcący się
sztuce u obcych i na ob-
cych wzorach, skoro tylko przy-
chodzą do poczucia swęj siły,
otrząsają się natychmiast z na-
śladownictwa, przejmują poe-
zyą i życiem ludu i podnoszą
się niekiedy aż na wysoki stop-
pień filozoficznego pojęcia prze-
szłości. Po takich szczęśliwych,
co zdołał uchylć zasłonę prze-
szłości, o poezją ludu w głębi
własnej duszy ujrzeli, należy
p. Piotrowski, którego obraz,
śmierć Wandy, dany na wy-
stawę krakowską, zakupiony
następnie przez Towarzystwo
sztuk pięknych tego miasta,
posłany został w roku zeszłym
na wystawę berlińską.



Artysta przedstawił bohater-
kę w chwili najwyższego na-
stroju duchowego, w chwili
ostatniej, przedśmiertnej. Cała
figura podana naprzód, ręka
jakby w przyszłość wyciągnię-
ta, tak wybitnie malują roz-
dział rzeczy ziemskich od nie-
bieskich, że choć ta lotna po-
stać jeszcze stoi przed nami,
my przecież w sercu i myśli
Wandę już w nurtach Wisły,
już przed sobą w mgłę obłok-
ów oglądamy. Twarz dziewi-
cy spokojna, pewna, słodka i
poważna, świadczy że w chwili
uroczystej, w chwili poświęce-
nia się dla dobra drugich, po-
gańska Wanda ma objawienie
chrześcijaństwa. Artysta spoj-
rzał aż w głąb duszy człowie-
ka, a w rysach Wandy stanął
przed nami ideał poświęcenia,
odbiła się odwieczna, boska
natura człowieka. Trzy nie-
wiasty otaczające Wandę,
przedstawicielki ziemi dla któ-
rej spełnia się ofiara, przy-
mują, każda w właściwy sobie
sposób, to objawienie duch-
we. Jedna, snadź najukochań-
sza, uchwyciła wpół bohaterkę,
ale ręce się jej obsuwają, gło-
wa pochyla, niezemska jak-
uścisk; ideał uleci, ona po-
zostanie z tęsknotą, wiara,
a może i pożądanem. Druga
u stóp jej uklękła, boleść po-
chyliła ją do ziemi, załamała
ręce, a z całej twarzy wybija
nateżenie myśli. Czyż to być
może? czy tak się godzi? tyle
cnoty, piękności, młodości ma
ginać, i dlaczego? Trzecia stoi
z twarzą w połowie odwróco-
ną i przyjmuje machinalnie
oddawane sobie przez Wandę
insygnia godności księżęcej;
myśl nie przygniotta jej do
ziemi, serce nie wyzwało do
czynu: na nią postanowienie
księżniczki spada jak grom
z nieba, a ból wewnętrzny
jeszcze nie wezbrał w uczucie,
nie spotęgował się w myśl.

ŚMIERĆ WANDY. (Podług fotografii z obrazu Piotrowskiego, rys. Tegazo.)

Takim jest pomysł, czyli inaczej mówiąc, takie jest wejście obrazu. Układ ogólny odpowiada założeniu: figury wznoszą się w kształcie piramidy, na szczycie której stoi lekka postać, a promienna twarz Wandy świeci jak przewodnia gwiazda, jak kres i cel ziemskiej wędrówki. Cała natura oddycha świeżością poranku, na którego tle rysuje się już zdala zamek krakowski, sterczy strażnicza wieża. Zastanawiając się szczegółowo nad figurami, pochylonej ku ziemi niewiaście zarzuciłby można zbyt duże napięcie, przeciwnie zasadom sztuki, wedle których każdy ból ziemski tak wskrós przepromienić powinno uczucie piękna, iżby mógł łagodnie, choć głęboko, w duszę patrzącego się wciskać. Dwie inne postacie kobiet proste i wdzięczne, zwłaszcza obejmująca w pół bohaterkę, porywają nas za sobą prawdą i naturalnością uczucia.

Rysunek tej poetycznej kompozycji jest pełen powagi i poprawności, draperye wdzięcznie i naturalnie spływają po szlachetnych kształtach figur, słowem obraz cały, z mistycznym śwem oświetleniem, tyle ma zalet prawdziwego piękna, że mimowolnie przywiązuje nas do siebie głęboką swą poetycznością.

Kronika tygodniowa.

Zapisujemy przedewszystkiem w kronice naszej fakt wysokiego znaczenia politycznego i wielkiej wagi dziejowej.

Manifestem cesarskim, ogłoszonym w Petersburgu dnia 17 marca, włóścianie w całym państwie rossyjskim usamowolnieni zostali.

To nadanie prawa obywatelstwa milionom ludzi, znajdzie echo przyjazne we wszystkich krajach ucylizowanych, w Europie całej, a ci którzy tę ważną kwestyą śledzili w całym jej przebiegu, nie zapomną zapewne, że pierwsza gotowość ofiary, pierwsze zaparcie się praw i przywilejów, jakie wiekowe ustawy nadawały, poszły od prowincyj zachodnich cesarstwa, dawniej polskich. Ukończone w zeszłym jeszcze miesiącu obrady Towarzystwa rolniczego, lokalizują dla nas znaczenie tego ważnego wypadku dziejowego, którego dokonanie połączone było z wieloma trudnościami tak szczęśliwie przelamanymi.

Włóścianie otrzymują wieczystą używalność chat w których mieszkają i ogrodów. Grunta orne, czynszowane według wartości ziemi, każdy włóścianin będzie miał prawo wykupić w stosunku skapitalizowanego czynszu. Wykupowanie to odbywać się będzie stopniowo, stosownie do możności każdego, a zatem częściowo, co wielce ułatwi ten stan przejścia, zapewniając mu wolny i spokojny przebieg.

Zdarzają się chwile, w których Bóg widomie objawia opiekę swoją nad narodami, rozświeca myśli, prostuje drogi i nastraja ducha ludzi do niedościgniętych celów swoich.

Weszliśmy widocznie w jeden z tych wielkich peryodów dziejowych; dotrwajmyż więc ze stałością i hartem, a ufajmy w to, że wszelkie złe usiłowania i pokuszenia rozbici się wsząd o silne przekonanie i niezachwianą wiarę, jeżeli niemi cały naród przejąć się potrafił.

Żaden ogół nie jest doskonałym, to rzecz wiadoma, muszą w nim być ujemne strony i części zepsute; ale jużby też opieki Bożej nie było nad nami, gdyby w tej ogólnej summie dążeń i działań ludzkich zło przeważało. Więc jakże sędzić o takim, który się tego ogółu strzeże, starając się tylko pokątnie w nim nurtować? Jakżeż sędzić o takim, który zamiast wywieść nad działaniami swemi sztandar jawności, stara się otoczyć nocą i tajemnicą, żeby pod ich opieką i zasłonięty niemi przeprowadzić jakiegobądź swoje ukryte zasady? Na co się przyda ta krecia robota?

Chociaż więc ogół składa się z jednostek nie wszystkich jednakowo usposobionych, chociaż może większość tych jednostek, pod względem zdolności umysłowych i wykształcenia, nie stoi jeszcze na stopie, na którejbyśmy chcieli widzieć sędziów naszych zamiarów i działań, to jednak jednostki te w połączeniu zdolne są wydać sąd nieodwołalny, sąd który zawsze prawie zdrowy rozsądek poprze, moralność uprawną, a historia potwierdzi. I jest to prawdą tak niezaprzeczoną, że największy geniusze, że ci pod których ręką zmieniły się losy narodów, a ludzkość nowe przybierała kształty, uczuwaliby nieraz potrzebę odwołania się do tego ogółu, zasięgania jego zdania i zyskania jego potwierdzenia. Było to u nich niejako usprawiedliwie-

niem się w oczach własnych, obroną z góry obmyślaną na pozwy, które kiedyś przyszłość miała przeciwko nim wystosować; tych zaś, którzy zaniedbali okryć się tym puklerzem, karcil nieraz surowo za to sąd potomności.

Pamiętamy że niedawno na dość licznej zebraniu, gdzie wszyscy objawiali głośno swoje zdania, którzyś z obecnych, nie godząc się widać z wysłuchaną opinią, wypowiedział do ucha drugiemu mniemanie swoje.

— Niech pan mówi głośno, odezwał się ktoś ze stojących bliżej, tak jak jesteśmy, powinniśmy nie wahać się jedni przed drugimi spowiadać się z najszybszych naszych myśli. Wierzaj mi pan, że łatwiej daleko i stosowniej jest ogółowi zwątpić o panu, niżli panu o ogóle.

Wyrazy te powinny być, jak owe maksymy wschodnie z alkoranu, wyryte złotemi literami na tablicy marmurowej.

Jednym z najbardziej przekonujących objawów tej jedności i zgody, których uświęcenie pomiędzy nami w przeszłych kronikach zaznaczyliśmy, jest połączenie dwóch list zgromadzenia kupieckiego, starozakonnej i chrześcijańskiej. Połączenie to odbyło się jednoznacznie. Fakt to wielkiego społecznego znaczenia, historyczną nawet ważność dla nas mający.

Taki rozdział, jaki istniał dotąd pomiędzy handlującymi chrześcijańskimi a starozakonnymi, rozdził mnożstwo nieufności, zazdrości, nienawiści nawet. Było to współzawodnictwo pomiędzy dwiema obcemi sobie klasami, ale współzawodnictwo nie ze szlachetnych wypływające celów, więc żadną miarą zbawiennych skutków przynieść nie mogące. Każde z tych stowarzyszeń szło odmiennymi zupełnie drogami i nieraz to czem stanowiło pomyślność jednych, podkopywało zarazem byt drugich. I dodawało to nieraz nowych żywiołów do tej nieprzyjazni, która i bez tego namiętnie szerzyła się pomiędzy chrześcijanami a starozakonnymi. Jak z jednej strony nie wierzone tym, którzy uparcie obstawali przy wierze swoich ojców, tak z drugiej większa znowu nieufność przyczepiała się do takich, którzy z przekonania i poczucia obowiązków obywatelskich przechodzili na wiarę chrześcijańską. Odstraszało to wielu od tego ważnego kroku, i słyszeliśmy takich, którzy mówiąc o porzuceniu wiary Mojżeszowej, powtarzali wyrazy Heinego, zbyt dobrze znane, żebyśmy jeszcze raz miał je tu przytaczać.

Nie czas ani pora wykazywać tu, o ile takie uprzedzenia, takie przesady mogły być usprawiedliwione przez błędy i zbrocenia jakim podpadali ci, którzy widzieli się celem tej nieufności, tej niechęci ogólnej. Dziś znikło to, i da Bóg bezpowrotnie, a wierzymy to szczerze z tymi wszystkimi, którzy błagają przyszłość rokują dla narodu naszego. Dziś miano dobrego obywatela kraju, powinno zatrzeć wszelkie odcienia wyznania, pochodzenia, stanu. I nie stosujemy tego wyłącznie tylko do starozakonnnych albo chrześcijan: tém mianem obywatelstwa, najpożądanejszym obecnie u nas, pragnęlibyśmy wszystkich zjednoczyć.

— I cóżem ja winien temu, że mój hrabia urodził, mówił pewien wielki pan na zebraniu izby deputowanych francuzkich, za czasów Ludwika Filipa. Nie każdemu daném zostało to szczęście, żeby był synem rzemieślnika albo przemysłowca i własnej tylko pracy wyniesienie się w świecie. Wierzajcie mi, i pod batystową nieraz koszulą szlachetne bije serce.

Wielki sens moralny zawarty jest w tych słowach, które są zarazem usprawiedliwieniem i krytyką pewnych dążeń naszego wieku. Z dobrze zrozumianego każdego położenia w świecie wysnuwa się korzyść ogółu, tak jak znowu ze złe pojętego stanowiska, w jakim nas pomieściły urodzenie, oraz środki moralne i materialne nagromadzone w naszych rękach, rośnie szkoda i rozdwojenie. Mylą się często tacy, którzy a priori ludzi sądzą po fizyognomii, albo z pierwszego wrażenia jakie spotkanie nowo poznanej osoby na nich sprawia; tém mniej usprawiedliwione są wszelkie uprzedzenia, przywiązane do tego lub owego stanowiska społecznego. Po uczynkach ich będziecie ich sądzili, mówił Zbawiciel ludzkości, i powinniśmy wszędzie i zawsze mieć przytomniemi te słowa. Czekajmyż na te uczynki i z nich tylko bierzmy miarę. Więcej powiem, w wielu razach przeszłość nawet, jeżeli nie nosi ona na sobie niezatartych plam, których już żadne usiłowanie ludzkie zmyć nie potrafi, przeszłość nawet mówię powinna być zapomniana. Do użytecznego dzieła nigdy za wiele nie znajduje się pracowników. Żadnej więc szczerze i otwarcie podanej dłoni, byleby ona nigdy nikczemnym nie zwałała się uczynkiem, odrzucić nam niewolno, boć przed żałującym grzesznikiem nigdy nie powinna być zamknięta droga, a często nawet z takich właśnie najsilniejsze wzrastają podpory dobrej sprawy. Przekonywają nas o tém dzieje ludzkości, jeżeli skrzętnie a u-

miejtnie wyszukiwać w nich potrafimy siebie. Kiedyś może obszerniej przyjdzie nam tę naszą myśl, dziś tylko napomykamy o mocho-dem, niepodając jej jako normę, ale ja trzebę, z wyjątkowego położenia konieczną wającą.

Całym sercem przyklaskujemy pięknemu zamiarowi założenia u nas resursy rzemieślniczej, który to pomysł, niezadługo wejść mający w życie, winniśmy czynnej a znaniej dobrze ogółowi troskliwości księdza Steckiego o dobro wszystkich bez wyjątku klas społeczność naszą składających. Isiądz Stecki w szeroko a dobrze opracowanym projekcie, wskazał główne zasady podług których resursa ta może się utworzyć i wejść w życie. Składka, zastosowana do możliwości, a wyrachowana na opłacenie wszelkich kosztów utrzymania tej instytucji na stopi przyzwoitej i porządnej, wynosić ma dla majstrów czterdzieści złp. na rok, dla czeladników zaś połowę tej summy. Porządku schadzki oznaczona o godzinie 7 wieczorem, to jest wtenczas właśnie, kiedy wszystkie oboty dzienne kończą się już, a rozrywka staje się prądaną i nieprzeszkadzającą w niczem. Zarząd powierzony jest dwunastu starszym, pomiędzy którymi przeliczać ma jeden senior czyli dziadek. Najdłuższy ten zabawy oznacza się do godziny 11 przed północą; za przekroczenie tego przepisu oznaczone będą kary pieniężne; nieodpowiedniemi byłoby bowiem dla ludzi pracy, żeby się zabawy późno w noc przeciągały. A zabawy te stanowić mają przyzwoite, poważne rozmowy, czytanie dzieł pożytecznych, usposabiających do rzemiosł i do handlu, oraz gry dozwolone, z których przedewszystkiem wykluczone zostanie wszystko to, co już wchodzi w granice hazardu.

Największą jednak zaletę tego stowarzyszenia stanowi właśnie to, że obie płcie bez żadnej różnicy uczęszczać tam będą. Tym sposobem życie nie zostanie wcale narażone na szkodę i rzadko to często się zdarza w innych stowarzyszeniach rodzaju, wyłącznie męzkich. Drugim wadnym brem rządów wypływającym, jest konieczność tożsamość w obejściu i pewien rodzaj moralnej brania, jakie obecność porządnym kobietom wie pociągnąć musi za sobą. Młodzież tym odzwyczaj się od niegodnego siebie towsmakuje w tém właśnie, co stanowić o prawdziwe źródło poprawy i umoralnienia kobiet naszych w każdej sferze jest zbaw i niejednokrotnie już mieliśmy sposobność w tej mierze stałe nasze przekonanie. A im oddalaliśmy się od tego wpływu, im bardziej liśmy z tą domową tradycją, jaką nam najpiękny przykład ojców naszych przekazał, tém więcej grzęźliśmy w błędzie i zepsuciu, zbaczaliśmy gi prawdziwego postępu i odrodzenia. Koj naszym winniśmy wyłącznie prawie, że mowe u nas otoczone jest blaskiem święto-rzadko który naród poszczycić się zdoła.

Kobiety to nasze, stanawszy murem na pmostw rodzinnych, nie dozwoliły zagnieć w nich żadnym żywiołom obcego zepsucia i nęwych a rozkładających pierwiastków. One to n dnokrotnie zastępując nas w tém właśnie, z obo niśmy byli czerpać mężkość, ducha i siłę n chetnym swoim współzawodnictwem wzb do upamiętania się i porzucenia tej drogi i bezczynny, która jest ostatnim ciosem v na naród zapominający o sobie, o swoich c o swojej tradycji, o duchu jaki Bóg weń nujmy więc matki i żony nasze, bo wiele go co się w nas odrodziło, co sami obec podziwiamy, im tylko winniśmy. A mówi le, na którego prawosć i cnotę rodzinną za jatkę cienia rzucić nie mogą. Wady zaś i zdro, jakie wytykamy kobietom naszym, są zbyt częst szém własnym dziełem. Nieraz one, nie chcąc utracić wpływu swego na nas, zmuszone są ubiegać się własnienie za tém, co my w nich uważamy za najbardziej pożądane, i nie winniśmy się skarżyć, że mamy je takimi, jakimi chcieliśmy je mieć, jakimi je sami zrobiliśmy. Upamiętanie się nasze będzie stanowiło ich poprawę z tych powierzchownych po większej części usterek, które najczęściej i najwięcej biją w oczy. Zbytkowe przybory toaletowe, jedwabie, koronki i krynoliny, wzięły swój początek właśnie w holdach i komplementach, jakimi otaczaliśmy ten pomocniczy arsenał wdzięków kobiecych. Bądźmy surowymi w duchu, poważnymi w życiu, a i kobiety nasze przestaną walczyć przeciwko nam tą bronią ze zbrojowni śmieszności i wyzyskiwań miłości własnej ludzkiej wyciągniętej. Czas ten zbliża się już, wielkie przetworzenie się wymaga ofiar, a wszelkie błahostki życia, do których tak śmieszna i niewłaściwa w ostatnich

czasach przywiązywaliśmy cenę, powinny być najpierwszą i najlżejszą z nich.

Kiedy więc niechcący przyszło nam na to, pomówmy trochę o modach. Błahy to na pozór przedmiot, ale z tej tak niby obojętnej rzeczy wysnuć się dają dzieje całego pokolenia i stanu w jakim ono znajdowało. Owóż dalecy jesteśmy od tego, żeby nasz ubiór terazniejszy zastosowany był do potrzeb tutejszego klimatu i natury naszej. Wzięliśmy go od obcych, żyjących w zupełnie innych warunkach klimatycznych, a stosujemy się uparcie do wszelkich zmian, jakie tymże obcym podoba się w nim zaprowadzić.

Wielu śmieje się z Anglików, którzy czy pod zwrotnikowym słońcem, czy też w stepach najbardziej ku biegunom posuniętych, nie odstępują nigdy od ubioru i zwyczajów narodowych. Nam się zdaje że nie śmiać się z nich, ale owszem naśladować ich w tym powinniśmy. Anglicy wyrobili sobie indywidualność narodową, która się w najdrobniejszych objawia rzeczach, i poczucie tej indywidualności, silnie w nich zakorzenione, stanowi właśnie najgłówniejszy zasób ich siły narodowej. Czemużbyśmy nie mieli, dla osiągnięcia tychże samych celów, tak samo jak oni postępować?

Lekkomyślnie odstąpiliśmy od ubrania, które długie życie i tyloletnie doświadczenie najstosowniejszym dla nas okazało. Nie utrzymuję wcale żeby nam obecnie powrócić należało do strojów w zeszłym wieku używanych: postęp wieku, wymagania tegoczesne, tyśiące zresztą powodów nie dozwolilyby nam tego uczynić. Strój ten zresztą całkowicie, tak jak był, nie zgadza się z wieloma tegoczesnymi warunkami, na które baczna zwrócić należy uwagę; zastosowany on był do różnych odcieniów i warstw, które nie mogą i nie powinny dzisiaj istnieć w wyróżnieniu.

Ale weźmy z ubioru przodków naszych to właśnie, co stanowiło jego wygodę i stosowne jest do warunków klimatu w których żyjemy, a co, pomimo różniewicznych przetworzeń w powierzchowności ubrania, nigdy się prawie nie zmieniało.

Na co nam na przykład, pytam, owe płytkie cizemki, świeży wymysł zachodnich szweców, najniestosowniejsze w błocie i śniegu, w pięknej zaś porze w żadnym razie niemogące zastąpić w wygodzie używanych przez przodków naszych butów? Na co nam owe długie spodnie, najniezgrabniej okrywające nogi nasze, i wymyślone tylko dlatego, żeby u dołu stawiały się rezerwoarami kłtrzawy albo błota? Na co nam fraki niemieckie i angielskie kapelusze, które już nawet Anglicy sami przestają nosić? Ta rura piecowa, z powagą noszona na głowie, zawsze mi dziwne wrażenie sprawiała, jak również ten ubiór ceremonialny, który Bóg wie po co od liberyi przedpokojowej pożyczylimy.

Dlaczegoż tak na lato jak i na zimę wiecznie jeden i tenże sam nosić materyał, kiedy u nas zima od lata daleko większy odskok stanowi, aniżeli w zachodnich krajach?

Wygodne buty na spodnie, polskiego kroju, a których forma tradycyjnie się jeszcze w warstatach majstrów kunsztu szewskiego przechowała, lekka czamarka albo bekieszka podpięta pod górę, starodawna czapka z barankiem w zimie, w lecie niski kapeluszek z szerokim rondem, chroniącym od słońca i deszczu, oto strój który każdemu z nas przystał i każdemu byłby do twarzy. Ubranie owo mogłoby być sukienne lub kortowe w zimie, jak zwykle bywa, w lecie zaś wykrojone z letnich materyałów, lekkimby było do noszenia i strojniby wyglądało. A wierząc mi, nie potrzebowałibyśmy się przyzwyczajając do tego ubioru, odrazu byłoby nam w nim wygodnie i przystojnie, bo on zgodny z naturą naszą. Przebrania zaś w które dotąd oblekałimy się, wydawały mi się zawsze tak zabawnie na nas leżącymi, jak kostiumy wojskowe europejskie w armii tureckiej, spopularyzowane u nas za pomocą karykatur Freemana. A to co mówię stosuje się także i do kobiet, chociaż daleko dłuższa byłaby historia, gdybym się chciał wdać w opisywanie poprawek, jakichby ubiór ich terazniejszy wymagał, a może i zmiana sama byłaby pomiędzy nimi trudniejsza do przeprowadzenia. Nie wątpię jednak o tym, że poszłyby i one chętnie za naszym dobrym przykładem, bo przecież pamiętają że nie krzywda była matkom naszym, chociaż mniej przesadnie się ubierały.

Starsi zgromadzenia rzemieślniczego naśladowali dobry przykład, jaki im zgromadzenie kupieckie dało z siebie. Zasiew jedności na urodzajną padł ziemię, Bóg go kiedyś w obfity plon przemieni.

AUTOBIOGRAFIA

BARONA TEOFILA DE NOWINA-DZICZEK GAPIŃSKIEGO.

Do Czytelnika.

Arma virumque cano.
Virg.

Upadły różne potencje tego świata. Upadł Rzym i Kartagina w starożytnych wiekach, a za moich czasów niejedyn dom handlowy zbankrutował; lecz taka to kolej rzeczy ludzkich, jedni się rodzą, drudzy umierają, czyniąc zadosyć obrotowi losów zodyaku. Nie dziw więc, że znakomita niegdyś rodzina nasza, kwitnąca na chwałę i pożytek Europy, straciła dawną świetność i dzisiaj w ostatnim swym potomku upadkiem jest zagrożona. Aby tedy pamięć jej uchronić od zagłady, a przekazać historii, skreśliłem fakta życia mego. Szukaj w nich mądrości, zacny czytelniku, i wysnuj konkluzję, że niewszystko złoto co się świeci, że bogactwa są znikome, a tytuł nie tak godnym zazdrości, jak się to niejednemu plebejuszowi wydaje. Czytaj i zapłac nad nieszczęśliwym losem znakomitego pana, który całe życie ulegał złośliwemu przeznaczeniu i ani ogromną fortuną, ani koroną dystynkcyi baronowskiej wykupić się od nieszczęść nie zdołał. Czytaj, abys w mądrości swęj nie ufał, losowi na przekór nie stawał, ale kierując się zawsze chorągiewką umieszczoną na szczycie domostw, wyszedł z chwałą z tego trudnego położenia, w jakim cię natura na świat wydając postawiła.

Wstęp, zawierający genealogią mego domu.

Ab origine ultima stirpis romanae generatus.
Corn. Nep.

Złośliwi sąsiedzi, starając się przyćmić niepokalaną sławę naszego domu, twierdzili nیکczemnie, że dziad mój Maciej trudnił się hodowaniem i sprzedażą tłustych zwierząt domowych, którym natura odmówiła rogów. Jednakże mam powody być przekonany że tak nie było. Świetności i starożytności naszego rodu dowiódł ś. p. niedawno zmarły Jan Potrzebicki, znakomity heraldyk powiatowy, który, na rozkaz ś. p. mamy, wyekspensowawszy 1500 zł. r. m. k. z nieboszczyki szkatuły zmarłego ś. p. papy, spisał obszerną kronikę rodziny naszej, z wiarogodnych aktów z Francyi nadesłanych, którą tu w streszczeniu podaję.

Próżnobyś, szukał miły czytelniku, genealogii naszej w Paprockim, Okolskim, Niesieckim, ba nawet w wydaniu starannem ostatniego, przez J. N. Bobrowicza w Lipsku, gdzie, gdyby ród nasz nie podupadł, byłibyśmy niezawodnie figurowali. Próżno przerzucalbyś, powtarzam, karty onych dzieł, bo latości naszego domu na innej wystrzeliła ziemi.

Znakomita rodzina baronów galicyjskich *de Nowina-Dziczek Gapińskich*, pochodzi ze sławnego francuzkiego miasta Gap, które fundował nasz protoplasta, rycerz *Godfryd bez tarczy*. Bohater ten, odbywszy z kolei wszystkie krucjaty, uzyskał w nagrodę przydomek *Godfryda à Palestina*. Wnet jakiś trubadur ułożył pieśń na jego pochwałę, a z początkowych liter przydomku zrobił anagram *G. A. P.*, który się tak naszemu przodkowi spodobał, iż ku uwiecznieniu jego założył w Delfinacie miasto, nazwał je *Gap*, i odtąd pisaliśmy się baronami de Gap.

Przydomek *Dziczek* (sangliette) spadł na dom nasz po kądzieli, żona bowiem owego Godfryda była córką sławnego Wilhelma de la Mare, zwanego dzikiem ardeńskim (sanglier des Ardennes), który, jak podobno kronikarze piszą, a ś. p. Potrzebicki powtarza, Karola Martela z Arabami ostatecznie z Francyi wypędził.

Rodzina nasza odznaczała się wciąż na dworze francuzkim, a potomek jej, *Hugo baron Sangliette de Gap*, przybył z Henrykiem Walezyuszem do Polski i w takich był łaskach u owego monarchy, iż wraz z hr. de Pibrac sypiał w przedpokoju królewskim, i codziennie przy *matém wstaniu* (petite levée) podawał ręcznik j. k. mości, oraz suknie jego nakrapiał wonnemi olejkami.

Zaslugi te naszego przodka, byłoby mu niezawodnie zjednały wysokie dostojenstwo na dworze, gdyby nie ucieczka z Krakowa króla Henryka, któremu uprzykrzyło się zuchwalstwo dumnych panów polskich, a na nieszczęście nie miał pod ręką Bastylii. W wigilię tej ucieczki dawano bal, celem lepszego ukrycia zamiarów królewskich. Na tym tedy balu baron Hugo, obrażony przez jakiegoś kasztelana, wyzwał go na pojedynek, a nie umiejąc obchodzić się z krzywą szablą polską, utracił oba uszy. To go skłoniło do pozostania w Polsce, gdyż zeszpecony, nie chciał się stać pośmiewiskiem całego Luwru.

Los jego, w kraju naówczas nieucywilizowanym, (gdyż rzadko który Polak mówił po francuzku), nie był godnym zazdrości, i możeby już wtedy wygasła nasza rodzina, gdyby nie królowa Marya Kazmira, która protegując Francuzów, ożeniła go z pewną starościanką i wyjednała baronowi indygenat z klejnotem *Nowina*, o czém jakoś przepomniano napisać w Niesieckim, i odtąd przybrawszy końcówkę na *ski* i zostawszy krajowcami, zaczęliśmy używać tytułu baronów *de Nowina-Dziczek Gapińskich*.

Dalsze wieści o losach rodziny naszej zniknęły w zamieszkach krajowych, i dopiero szlachetna postać mego ojca wynurza się z pomroki dziejów.

I. Mój papa i jego czyny.

Sic honor et nomen, divinis vatibus atque carminibus venit.
Hor.

Papa mój, po śmierci swojego, postanowił poświęcić się stanowi duchownemu i nawet rozpoczął nowicyat u jezuitów w Tarnopolu, wprawiając się w pokorę przy kanafarzu w kuchni klasztornej. Pod ubogim jednakże kaftanem kuchty, biło serce rycerskie. Niepohamowana chęć do walki nie dała zażrebać się młodemu lwiatku w murach zakonnych. Uszedł z tamtąd, a chcąc ukryć się przed prześladowaniem, połączył się z pewnym wędzarem i u niego dla rozrywki bijąc i płatając nierogaciznę, przyuczał się do robienia bronią i oswajał z zapachem krwi.

Wkrótce atoli nastęrczyła się mężnemu sercu sposobność zadosyć uczynienia wrodzonemu parciu do sławy rycerskiej. Wybuchła wojna w r. 1812., a mój papa pragnął wstąpić w szeregi armii. Że zaś już wszystkie pulki były skompletowane i nie znalazło się żadne wakujące miejsce, nawet na prostego żołnierza, wyładował ogromną brykę wędlinami i przyłączył się jako ochotnik do posiłkowego korpusu, który pomiędzy Łuckiem a Słuckiem miał zasłaniać z flanku prawego wielką armią (księcia Szwarzenberga). Pomieszczono go przy sztabie głównym, którego był duszą, gdyż w każdej porze zasilał wiktualiami walecznych oficerów, więcej przez patriotyzm, aniżeli z chęci zysku, za co mu też grubo płacili.

Nie będę opisywał jego walecznych czynów, znanych na całej przestrzeni we wszystkich marszach i kontramarszach pomiędzy Łuckiem a Słuckiem, powiem tylko, że gdy raz był napadnięty od Kozaków, tak skuteczny stawał im opór, iż lubo żadnej rany nie odniósł, jednak przez parę tygodni kroku postąpić nie mógł, dla licznych kontuzyj, od tępej broni otrzymanych.

Mszącąc się za ten czyn przeciwny prawu narodów, papa mój starał się zubożyć kraj nieprzyjacielski i finansie jego zruinować. Kupował przeto różne precjoza zdobyte przez maruderów, a były to czasy błogosławione, bo nieraz za kawałek wędzonki nabywał od zgłodniałego rabusia sygnet brylantowy, lub naszyjnik z pereł. Bywali oni piekielnie głodni, a w całym obozie nigdzie nie znalazłeś kawałka kiełbasy, jak tylko u mego papy.

Znakomity to był człowiek, którego mądrość w całym korpusie poszła w przysłowie. Skoro bowiem zasłyszal że wielka armia cofa się z Moskwy, nie czekając Berezyny zrobił *rechts um* i drapnął do Tarnopola, w czém nawet samego wodza korpusu posiłkowego, księcia Szwarzenberga, uprzędził.

II. Dalsza karyera mego papy.

O cives cives!, quaerenda pecunia
primum est. Virtus post nummos.

Hor.

Syt chwały wojennej, bohater nasz zapragnął jeszcze sławy podróżnika. Opuścił tedy rodzinny Tarnopol i jak drugi Kolomb udał się na zwidzenie krajów nieznanych. Jeździł tedy po Niemczech od miasta do miasta, w każdym zostawując część łupów wojennych, a biorąc w zamian złoto. Przywiózł go zaś po dwóch latach wędrowki tyle, że nietylko dwie wioski nad Zbruczem kupił, ale i porządną porcyą gotóweczki pomiędzy sąsiednią szlachtą rozpozyczył, na pewną ewikcyą, a nieszpety procencik.

Pocziwa nasza szlachta, która w owym czasie niezmiernie lubiła pożyczac pieniędzy, choć ich wcale nie potrzebowała, nie mogła znieść tego, że papa mój uciskał biędne czerwieńce w dębowej skrzyni; chcąc tedy dopomódz im do odzyskania utraconej wolności, sąsiedzi pożyczali a pożyczali od papy, a bojąc się ażeby biędni niewolnicy nie popadli na nowo w ręce ciemiężcy swojego, wywozili ich do Wiednia i tam powierzali pod straż ludziom godnym zaufania, jako to: restaruratorom, szulerom i baletniczkom.

Kto się zagłębiał w dziejach ludzkości, nabrał przekonania, że pomaganie drugim, ściaga zgubę na pomagającego. Popierali Kartagińczycy Mamertynow i przy-

placili to utratą własnego kraju. Nie chcą ruszać z grobu popiołów męża Marysienki, lecz i onby zaświadczył, że na swęj pomocy wyszedł tak jak nasz krewny Zabłocki na mydle. I szlachta też okoliczna źle wyszła na popieraniu buntu czerwieniów przeciwko mojemu papie. Termina zwlekano, lecz długi rosły; wiowski sąsiednie szły na licytację, a papa kupował jedną po drugiej i mediatyzował swoje posiadłości. Byłby tym sposobem przyszedł do kolosalnej fortuny, gdyby nie pewien procesik, o którym tu przez skromność zamilczam.

Tak tedy papa mój, zrobiwszy uczciwym sposobem piękny mająteczek, doszedł do znakomitego znaczenia w okolicy i zaślubił Leopoldynę de Zachlastal, córkę officyała ze Lwowa, który później także dosłużył się rangi konsyliarza. Mama rządziła domem wielowładnie, wzięła na siebie nieco zaniedbaną życiem obozowem edukacją mojego papę i po kilku latach zrobiła z niego takiego salonowca, że się cały cyrkul wydziwić nie mógł, i gdyby nie to, że nie mógł się nauczyć po francuzku, byłby człowiekiem *très comme il faut*. Dom nasz stanął na czele okolicy, mieliśmy karete, kocz i fortepian z Wiednia i nowy pałac piętrowy wybudował.

Wynikiem tego szczęśliwego małżeństwa byłem ja.

Zaledwie zacząłem wymawiać, *papa daj*, przyjęto mi bonę wiedeńską, która mię uczyła języka niemieckiego, bez którego u nas w Galicyi żyć niepodobna. Garderobę i bieliznę miałem przepyszną, a każda koszulka i pończoszka jaśniała złocistym herbem, uwiecznionym koroną baronowską.

Kiedy począłem chodzić, papa mój dał świetny bal z fajerwerkami, a cały dwór odebrał rozkaz nazywania mię *jasnym paniczem*; gdy zaś jaki demagog odmówił mi należnego tytułu, to go mój papa, za podszuczeniem mamy, porządnie nieodstępny bambusem wykropił.

Słodko schodziły dni pierwszej mej młodości: pieaszczony od mamy, opychany słodyczami, walałem się po ziemi, dziurawiłem obicia, obrywałem firanki, kąsałem i biłem bonę, a wszyscy uwielbiali mój dowcip i rozum nad lata. Bona chętnie przyjmowała te moje pieaszczoty, bo jej papa grubo płacił, przepraszał za moje karesy, a nawet, gdy mama nie widziała, całował.

Kiedy skończyłem lat 10, zebrała się wielka rada familijna, pod prezydencją mamy. Przyjechał dziadzia konsyliarz i ciocia pensyonowana wdowa po regierungsracie i wujaszek cioteczny, unterlejtant w regimencie erzhherzoga Johana. Mama zaprojektowała przyjęcie dwóch guwernerów, jednego, któryby mię nau-

noga jego u nas nie postanie, i jak to później zobaczymy, przysięgi dotrzymał.

IV. Pan Kasprzycki i Monsieur Pierre de Biberon.

Ad rivum eundem lupus et agnus venerunt.

W miesiąc po tej naradzie, Fajbus, handlarz wina w miasteczku do papę należącem, przywiózł Kasprzyckiego, nauczyciela polszczyzny, na jednokonnym wózku, w kilka zaś dni później, mama przywiozła koczem ze Lwowa Mr Pierre de Biberon, guwenera Francuza.

Z wielką niechęcią przyjąłem obu guwernerów, wkrótce jednak nienawiść do Polaka, połączyła się z uwielbieniem dla Francuza. Kasprzycki męczył mię parę godzin dziennie nad książką, pan de Biberon prowadził tylko konwersacyę, biegał po ogrodzie, i igrał ze mną cały dzień boży, wyjąwszy wieczorów, podczas których mama wzywała go do lektury.

Wkrótce też rodzice znenawidzili guwenera Polaka, papa za to że, pomimo iż mu płacił 200 fl. cm. rocznie, p. Kasprzycki nie chciał stać w lecie nad żniwem, a w zimie nad młocką; mama, że nosił czamarkę, nie fryzował głowy i po francuzku mało co umiał, a mnie odważył się kazać klęczyć. Po roku już



Papa mój w każdej porze dnia zasilal wiktualami walecznych oficerów.

III. Urodzenie się i edukacja moja.

Ex unguibus cognoscitur leo.
Proverb.

Mama moja, o której dopiero wspomniałem, wydała mię na świat, a ponieważ w dzień mego urodzenia zeszły się konstellacye Marsa i Merkurego w Zodyaku, przeto wróżono, że będę wielkim wojownikiem i nieodrodnym synem papę. Mama po urodzeniu mojem zapadła niebezpiecznie; leczyli ją najslawniejsi lekarze i żyd Jankiel z miasteczka, lecz głęboka ich nauka na nic się nie zdała i byłaby może pojawienie się moje na świat życiem przypłaciła, gdyby jej papa nie uleczył, przywożąc w Wiednia patent baronowski. Użył w staraniach o ową godność niemałych trudów, albowiem wymagano od niego, ażeby udowodnił iż w naszym rodzie był senator. Przepłynawszy morze, byłby niezawodnie utonął w Dunajcu, gdyby go jakiś poczciwy kalligraf nie wyratował, który za kilkaset reńskich potrzebnych dokumentów poszukał; zapłaciwszy więc także 6000 zlr., patent do domu przywiózł. Niespodziewana radość tak dalece na mamę wpłynęła, że nastąpiło szczęśliwe przesilenie choroby i że odzyskała zdrowie. Jednakże już później potomstwa nie miała, z wielką moją, jedynego sukcesora, pociechą.

czył czytania i pisania w języku krajowym, dla każdego galicyjskiego barona koniecznym (?) i Francuza, któryby mnie w manierach wielkiego świata, przywoitém znalezieniu się w dystygnowanych towarzystwach, a osobliwie w mowie francuzkiej ekspedyte wydoskonalił.

Propozycya mojej mamy silny w łonie familii znalazła opór. Papa nie chciał aby mię uczonym człowiekiem robiono, gdyż sam bez pobierania nauk, a tēm samém łozenia ekspensy, pięknego się majątku, tytułu i znaczenia w świecie dorobił. Dziadzia konsyliarz był przeciwny nauce czytania i pisania polskiego, gdyż język ten, mówił, z biegiem czasu musi wyjść z użycia w Galicyi. Wujaszek zaś unterlejtant zgrzytał zębami na samo wspomnienie Francuza, miał bowiem do tego narodu urazę z czasów wojen napoleońskich. Mama jednak, przez cicię silnie poparta, przemogła i obie *viribus unitis* odniosły przewagę nad rodzajem męzkim. Postanowiono przyjąć Mr Pierre de Biberon, którego mama znała jeszcze z pensyi, na ulicy Sykstuskiej we Lwowie niegdyś istniejącej.

W końcu przystali wszyscy na wniosek mamy, tylko wujaszek lejtnant, lękając się ażeby na widok *mięsa francuzkiego* (tak nazywał wszystkich Francuzów) nie wpadł w passyę, zaprzysiągł na honor wojskowy, że dopóki Francuz będzie w naszym domu popasał,

go nie było. Fajbus jednokonnym wózeckiem odwiózł napowrót owego niedołęgę.

Przeciwnie kochany paryżanin przez pięcioletni swój pobyt, nie wiem czy trzy razy miał ze mną porządną lekcję; papaliśmy po całych dniach po francuzku, a tak biegle, że mama nawet zrozumieć nie mogła, chociaż ekspedyte znała ten język. Mój guwerner opowiadał mi wiele pięknych i zajmujących rzeczy, wykladał prawo natury, oświecał mój umysł, ganiąc bezlitości nasz nędzny i szkaradny kraj, wynosił pod niebiosą piękną Francyę, a osobliwie cudowny Paryż, jego bulwary, teatra i kawiarnie. Zresztą wprowadził mię w logikę, grywając w karty o pieniądze, które zawsze przegrywałem, i naprawiał żołądek popsyty słodyczami; dając potajemnie na noc parę kieliszków winka, które mu Fajbus skrycie przynosił.

Po sześciu latach edukacyi, pobyt w kraju stał się dla mnie nieznośnym, paliła mnie żądza oglądania Paryża. Mama i papa, pierwsza z powodu młodości mojej, drugi z przyczyn finansowych, nie chcieli na to pozwolić; lecz przedziwny Monsieur de Biberon umiał temu zaradzić: podmówił mnie, ażebym zawiązał romans z ładną córeczką naszego ekonomy.

Podstęp udał się przewybornie, zakochałem się w ładnej Józi na prawdę. Wtedy mama, uwiadomiona przez guwenera o moich miłostkach, zesłała nas na schadz-

ee w altance ogrodowej, kiedym Józio moje uczucia na kolanach oświadczał. Skutkiem tego wypędzono staro-ekonomu z córką, zabrawszy mu za karę cały dobytek, a mnie, gdy zaczął rospaczać o Józio, dla uleczenia z niestosownej miłości, postanowiono do Paryża wyprawić.

Podróż tedy nasza miała nastąpić w połowie maja. Robiono ogromne przygotowania ażeby doboremstrojów mógł zachwycać stolicę Francji. Niemal napracowali się krawcy i szewcy lwowscy; niemal zaplacono reńskich za haftowane gorsy i mankiety. Nakoniec już wszystko było gotowe, ale Fenelon dobrze to mówi: *L'homme propose, Dieu dispose*. Kielich goryczy zatrul moje marzenia, cała podróż w łeb wzięła i to był pierwszy cios srogiego losu, który mię aż do grobowej deski odtąd niezmordowanie przesładował.

W wigilią naszego wyjazdu Monsieur Pierre de Biberon wymknął się cichaczem z pałacu, do bliźniego miasteczka, aby (jak się to z indagacji później okazało) pożegnać Fajbusia, do którego Izraelity mój guwerner miał szczególną sympatją. Ilekroć wracał od niego w różowym humorze, rozwodził się nad niezwykłym podobieństwem Fajbusia do wielkiego Turenne lub Bayarda i twierdził, że go los powinien być uczynić jakim znakomitym dygnitarzem. Otóż w ów pamiętny wieczór północ wybiła, a Francuza nie było widać. W całym domu powstał ogromny rozruch, szukano go, wołano wszędzie... napróżno. Kiedym po długich naleganiach wyjął mamie miejsce pobytu szanownego guwernera, wysłano ludzi z latarniami do miasteczka, wywleczono nawet Fajbusia z szabasowych betów; ale ten twierdził że guwerner jeszcze o 10ej miasteczko opuścił. Nakoniec po długich poszukiwaniach znaleziono nieszczęśliwego Francuza, ale gdzie, oto na dnie strumyka, płynącego za pałacowym parkiem. Jak czcigodny Mr. Biberon mógł utonąć w strumieniu, którego głębokość stopy nie dochodziła, nikt wytłumaczyć nie umiał; zdaje się jednak, że biedny paryżanin, wracając od Fajbusia, dostał na mostku zawrotu głowy, w skutku którego stracił równowagę, wpadł w strumień i oddał ducha Bogu.

Strata tak znakomitego męża, niech będzie dla nas surową nauką, że kształcąc siebie, nie kształcimy ludu i nie uczymy go po francuzku. Być bowiem bardzo może, że Monsieur Pierre de Biberon wołał ratunku po francuzku, lecz że go żaden chłop nie zrozumiał, więc też na pomoc nie pospieszył, a zaszczyt literatury francuzkiej w strumyku utonął.

Tak utraciłem najszlachetniejszego przyjaciela, a świat uczony znakomity geniusz, jaki nieprędko wieki wydadzą. *Requiescat in pace!*

Jan Fryderyk Sapięha, kanclerz w. lit.

(Dokończenie.)

IV. Kanclerstwo.

Sejm pacyfikacyjny doszedł w roku 1736. Kanclerz

w liście swoim do województw pisanym, zachęcał ciągle do zgody (Swada, IV, 30). Jego też usiłowaniom po części winna była rzeczpospolita spokojność która nastąpiła.

Dla nabrania sił do pracy, pragnął Sapięha wyjechać zagranicę do Cieplic, ale nie mógł się zebrać

jeździł na każde zawołanie pańskie. Jeżeli kiedy przejeżdżał przez Drezno, zawsze miał sprawy ojczyste na widoku; ale pełen powagi, nie jeździł umyślnie do Drezna przesiadywać tam przez całe miesiące, jak to robili inni ministrowie, bo czuł, że jest to ubliżeniem majestatowi narodowemu.

Domawiał się przy każdej sposobności wyjścia wojsk zagranicznych z kraju, porozumienia się z ojcem św. z powodu zajęć ostatnich, jakie miała rzeczpospolita ze stolicą apostolską. Chciał także kanclerz poskromienia czambułów tatarskich, utrzymywania dobrych sąsiedzkich stosunków z Krymem i z Portą. Chciał zabezpieczyć pogranicze pruskie, które podlegało najazdom i werbunkom; furmanów naszych więzili Niemcy i zatrzymywali towary. Chociaż wyszły raz na mocy uchwały senatu we Wschowie listy do pogranicznych starostów, ażeby czuwali nad bezpieczeństwem rzeczpospolitej, nie nie pomogło. Domagał się więc kanclerz, ażeby ślać do Porty o Tatarów, a z regnaniem pruskim rozporządzać układy (Swada, I, 73). Troszczył się także i o prawa rzeczpospolitej do Kurlandji (tamże IV, 76).

W sprawach wewnętrznych, na sejmach, zawsze i wszędzie, kanclerz przypominał unią Korony z Litwą i pod tym względem wiele się różnił od dawnych możnowładców litewskich, którzy czasami niesforemnie słowem, nieostrożną myślą przymawiali Koronie, jak gdyb dla nich ta unia była ciężarem. Dla naszego Sapięhy sojusz braterski dwóch narodów był nietylko faktem, ale dobrodziejstwem dla Polski i Litwy. Żłądnie odróżniał nigdy spraw jednej prowincji od drugiej. Cieszył się jak Polak, każdą oznaką dostojności narodowej, n.p. tém, że król przywrócił prawo nominacji na kardynałstwo, kiedy biskupowi krakowskiemu wyrobił purpurę (Swada I, 74). Domagał się poskromienia kup swawolnych na Litwie (tamże I, 74). Obstawiał za prawami miast Krakowa, Elbląga i Wilna. Rada walna warszawska raz uchwaliła dla tych miast tak zwane subsidia, to jest pewne ulgi w ciężarach; kanclerz chciał, żeby sejm na dłuższą takich wolności dozwolił. Dowodził potrzeby odbudowania zamków krakowskiego i warszawskiego (Swada, I, 73), toż samo ratusza w Piotrkowie (tamże 74).

Niespracowany, to na sejmie występował z wnioskami od tronu, to zagażał i żegnał mowami sessyie prowincjonalne, nietylko litewskie alei wielkopolskie, (Swada, I, 449), to odpowiadał deputatom trybunalskim i posłom wojskowym, to w zastępstwie marszałków oddawał we Wschowie łaskę nadworną litewską Ferdynandowi Platerowi r. 1739. (Mowy jego w Swadzie, tom I, str. 76—87, tom IV, str. 449—423.)

Książę Fryderyk Czartoryski, podkanclerzy litewski, nie mógł być przyjacielem Sapięhy, chociaż z sobą razem kolegowali w urzędowaniu. Przez upór swój pozbawił się wyższej pieczęci, co nie było mu teraz na rękę, gdy roboty swoje rozpoczynał na Litwie:



Zebrała się wielka rada familijna pod prezydencją mamy.



Znaleziono nieszczęsnego na dnie strumyka.

na wiosnę następną (Kuryer Polski 1737 Nr. 29, 32 i 37 r. 1738 Nr. 64—66). W pierwszej jesienniej przejażdżce towarzyszyła mu żona, w drugiej odprowadziła go tylko i powróciła do Kodnia.

Nie opuścił Sapięha żadnego sejmku, nawet żadnej rady senatu w Warszawie i we Wschowie, do której

pragnął zatem usunąć przed sobą przeszkody i sam zostać „rozrzuconym dystrybuty szafarzem.“ Dotąd kanclerz ubiegał go wszędzie i w radach pańskich i w zaufaniu Litwy. Nie stało się to przez żadne zabiegi, ale przez prostą siłę wypadków. Każdy, kto pragnął urzędu lub starostwa, potrzebował pieczętarza i wołał zgłosić się do zacnego Sapiehy, jak do dumnego księcia podkanclerzego, który chciał mieć sługi na wszystko powolne, ale nie myślał skarbić sobie przyjaciół. Pan dobry i sprawiedliwy, Sapieha oburzał się na każdy brzydki czyn i słowo, ale zapominał prędko urazy. Przeciwnie Czartoryski pamiętał, chociaż przebaczył, a przebaczał tak rzadko! Kanclerz, regularny tak samo w życiu jak w urzędzie i dużo ociążał, brał wszystko z namysłem, z rozwagą, a że nie chciał nigdy nikogo skrzywdzić, ztąd wahał się, i jak mówiono o nim, był w sentymentach swoich dziwnie odmienny. Gdy sprawę jaką wziął do namysłu, raz wraz nowe przychodziły mu refleksje i często wyrok odmieniał; kazał pisać go na jedną stronę, a za chwilę na drugą, według tego jak sumienie mu kazało, lub jak go ludzie opanowali; nie umiał się bronić i ciągle ustępował to naleganiom, to prośbom. Chociaż, jak widzieliśmy, Sapiehom nie pochlebiał wcale, miał wielką słabość do Radziwiłłów; wpływała wielce na to usposobienie miłość jaką miał dla żony. Przeżył z nią w świętej zgodzie blisko pół wieku, przeżywał ją zawsze swoją *księżną jęmością*. To szczególna w saskiej Polsce, że kobiety idące za mąż, jeżeli były z urodzenia księżniczkami, nie utracaly nigdy swojej mitry. Namnożyło się w pierwszej połowie XVIII wieku domów książęcych w Polsce, bo ci panowie, co mieli dawniej pergaminy cesarskie na tytuły, teraz je na wierzch powydobywali, a za ich przykładem zaczęli się inni starać o takież przywileje, ubiegali się za orderami orla białego, św. Huberta i t. d. Splendory polskie miały to do siebie, że nigdy nie bladły; nie zaciemniały ich ani wielkie błędy, ani hańba, ani, jak to widzimy, małżeństwo. Otóż wszystkie n. p. Radziwiłłówny i Wiśniowieckie, które poszły wówczas za Sapiehów, z księżniczek tylko przerabialy się na księżne. Dwie siostry Czartoryskie, choć były z Flemmingiem, nazywały się zawsze księżniami. I nie działo się to dla dworszczyzny lub etykiety, owszem, zasada była przyjęta, a tak samo gazety, jak wszelkie piśmienne zabytki owego czasu, zawsze pisały n. p. o Sapieżu „jeg. pan kanclerz wiel. litewski,“ a żonę jego nazywały „księżną jęmością.“

Podkanclerzy, wrzucił życiem, czynny, nieprzebiegający w środkach, stanowił rażąca z kolegą swoim sprzeczność. Gniewał się za wszystko na Sapiehe i za to, że kochał Radziwiłłów, których księżę nie lubił, bo widział w nich nieprzyjaciół swojego systematu, i za to, że nie był dobrze z Sapiehami, którzy znowu, widząc że niema co liczyć na kanclerza, z Czartoryskimi trzymali. Gniewał się na samą kanclerzynę, która zaczęła teraz wielki wpływ wywierać na swojego męża, kiedy rzeczywiście wiek przybił mu włosy, złamał hart duszy. Księżna jęmość poprzysięgła nienawiść dla wszystkich, co mieli łaskę u męża; jąlała go, nakręcała według swęj woli, kierowała nim, jak chciała. Kanclerz tak dalece żonie uwierył, że znosił to wszystko z chrześcijańską pokorą, a coraz mocniej ją kochał. Korzystając z tego, księżna posuwała zawziętość swoją aż do ostateczności, a dodajmy do tego, że miała nieco przygrube maniery. Kanclerz drżał przed nią.

Jeżeli Sapieha nie lubił Czartoryskich, księżna nie lubiła ich sto razy więcej, bo Radziwiłłów szarpali, bo nie za wiele mieli brata jęj rodzzonego, hetmana Rybenkę, który wziął buławę, nie Józef Sapieha. Dlatego najmniejsze czyjeskolwiek dobre słowo o Czartoryskich już obudzało w księżnie podejrzenie. Na tę żony wiarę przeszedł rychło i kanclerz.

Nie mógł strawić swego kolegi; a każdy kto z księciem Fryderykiem mówił choć słówko, każdy kto do niego pisał, lub miał z nim jakiegokolwiek stosunki, już przez to samo stawał się nieprzyjacielem kanclerza. Do tego księżę nie szczędził Sapiehy. Bywało tak nieraz, że jeden przywilej podpisał i przypieczętuje kanclerz, a drugi na toż samo podpisał i przypieczętuje księżę Czartoryski: ztąd nienawiść i spór prawny, który z przywilejów jest ważny. Przepisywały konstytucje narodowe, że w takim razie kanclerz mógł roztrząsać zasady i wyrokować między przywilejami; miał więc kanclerz zawsze sposobność postawienia na swoim, ale nie używał tak często swojego prawa, chyba że już bardzo na niego nastawali przyjaciele.

Przez zawiść nie dawał kanclerz sądzić assessoryi księciu Fryderykowi, chociaż go o to często prosił; sam wołał dosiadywać sądów i robił to zawsze z wielką pilnością. Pospolicie zjeżdżał na te sądy do Brześcia; rzadko kiedy w czasie sejmu, albo dla obecności króla, przejeżdżając się do Warszawy lub do

Grodna, tam sądził. Zasiadał tedy od ósmej rano, aż do dwunastej, i od drugiej aż do północy nie ruszał się z miejsca. Dzień w którym pierwszy raz zjechała się Litwa na te sądy do Brześcia, był wielką prowincjonalną uroczystością, a to z wielu powodów. Najprzód dawno już sądów assessorskich nie bywało dla bezkrólewia, kiedy więc ogłosił je Sapieha uniwersalami na luty r. 1738, ze wszystkich stron zebrała się do Brześcia tak wielka liczba szlachty i panów, że nawet stancj zabrakło. Czekali długo na kanclerza, który jeździł wtedy pod Knyszyn na Podlasie, żenić siostrzeńca swojego Chodkiewicza z Czapską, wojewodzianką pomorską. Kanclerz sam zwykle dobierał sobie assessorów do sądów, ztąd szlachta ubiegała się o względy pańskie; drudzy pojechali prosić o sprawiedliwość, jedni panowie zaś chcieli się godzić przez pośrednictwo Sapiehy. Kanclerz wziął się za powrót z wesela Chodkiewiczowskiego zaraz do pracy, ale nie mógł pogodzić, jak chciał, Sapiehów ze strażnikiem Pocijem, niedoszłym hetmanem, o dobra słuckie (Swada, I, 83). Za to przykładowie sądził assessoryą w marcu 1738 (Kuryer Polski Nr. 54—60).

Już w r. 1742 spotykamy pierwsze zabiegi księcia Fryderyka Czartoryskiego, ażeby pozbyć się Sapiehy. W czasie sejmu warszawskiego, podkanclerzy zaczął o to księża koadjutora wileńskiego, także Sapiehe, pana bardzo zacnego i uczonego, który jednakże miał też samą wadę co i prymas Szembek, to jest że dom swój za bardzo kochał, do czego się nawet przyznawał w listach swoich. Spodziewano się rychłej śmierci księcia Michała Wiśniowieckiego, i podkanclerzy ofiarował po nim województwo wileńskie naszemu panu z Kodnia. Dobrze mierzył księżę, bo najprzód koadjutor był stworzony na rozjemcę wszystkich spraw sapieżyńskich i umiał przestrzegać honoru domu, a powtóre staremu kanclerzowi, który lubił spokojność, sprykrzyły się te ciągle zajęcia, w jakich zostawał z dworem wołyńskim. Mógł pieczęć litewską oddać za pierwsze krzesło w Litwie. Zgodził się łatwo na zamianę, ale kiedy pomiarkował, że go sobie za nie nie waży księżę podkanclerzy, zimniej przyjmował wszystkie obietnice i zaręczenia. Umilkła ta sprawa wreszcie na całe dwa lata.

Tymczasem w lecie r. 1744 umiera księżę hetman wojewoda wileński. Sam koadjutor wileński miał już własny interes w tym, żeby przypomnieć i kanclerzowi i księciu dawne układy. Był wtenczas w najlepszych stosunkach przyjaźni z dworem wołyńskim i wiele się od niego spodziewał. Miał brata rodzzonego Michała łowczym w. lit., miał synowców, których był opiekunem i dla nich wszystkich wyglądał łaski. Synowcowie dziećmi jeszcze byli, ale bolało to niezmiernie koadjutora, że brat jego nie miał jeszcze stanowiska, jakie przysłało Sapieżu. Podkanclerzy w Wołyńcynie powiedział raz koadjutorowi, że w razie gdy sam weźmie pieczęć wielką, do mniejszej przedstawi królowi łowczego. Ztąd na pierwszą wieść o śmierci Wiśniowieckiego, jednego dnia wysłał zaraz koadjutor dwa listy do obudwu pieczętarzów litewskich (26 września 1744 r.). Pierwszemu nasuwał łowczego do pieczęci:

— „Co gdybyś w. ks. mość z osobliwszego respektu swego praestare zechciał, pisał do Wołyźna, miałbyś z brata mego wespół ze mną tém bardziej obowiązane go służyć, oraz a nutibus swoich dependujące in hoc gradu subjectum.“

Przymawiał się i o buławę dla Michała Massalskiego, z którym był wtedy również w serdecznych stosunkach: „Przytęm wypromowawszy takowym sposobem jw. łowczego w. w. ks. lit. do tego honoru, a zaś jw. imp. kasztelana trockiego do buławy polnej, utrzymałbyś w. ks. m. w Litwie aequilibrium, a tém samem byłbyś autorem publicznej tej prowincyi szczęśliwości.“

Kanclerzowi koadjutor pochlebiał, żeby łatwiej dopiąć celu. Wprawdzie pisał do podkanclerzego, że wybięra się na sejm do Grodna „lubo przy słabym zdrowiu,“ ażeby „mógł czempredziej pełnić rozkazy jego,“ jak w tej okoliczności tak i w innych, ale jednocześnie zapewniał i kanclerza, że dla niego tylko jedzie do Grodna. „Wybieram się na pracowitą, chłodną i błotną rezydencją grodzieńską, jak na parzykcie delicje, albo na karnawał wenecki.“ A dalej pisał, że głos powszechny w Litwie powołuje kanclerza na województwo wileńskie.

Kanclerz jednak nie dał się namówić nawet tak wymownemu człowiekowi, jakim był księżę koadjutor. Wszystko Sapieżu można było wytłumaczyć, z największego uporu spuścić, ale nie chciał udawać przyjaźni dla Familii. Poszedł więc księżę Czartoryski sam najprzód, nie zważając na kanclerza. Potęga jego na dworze znakomicie urosła przez stosunki z królem. Pokazało się to szczególniej na sejmie w r. 1746 w Warszawie. Opuścili Sapiehe wtenczas i uciekali jakby przed

zapowietrzonym, bali się albowiem narazić księciu podkanclerzemu. Kiedy otworzył sądy zadworne w czasie sejmu, kanclerz assessorów nie znalazł, bo nikt sądzić z nim nie chciał; tłumaczyli się wszyscy, że to koszt pociąga za sobą, że zdaleko z Litwy do Warszawy. (*)

V. Śmierć.

Nie już pod starość nie poradził kanclerz Familii. Połączył się zatem jeszcze ściślej jak kiedykolwiek z domem radziwiłłowskim, to jest z hetmanem Rybenką, i wspólnymi siłami stanowili sejmiki po województwach przeciw księciu Fryderykowi. Kanclerz trzymał szczególniej na wodzy szlachtę brzeską, bo Radziwiłła zakres działania był silniejszy i rozciąglejszy. Raz się to udawało, drugi raz nie, ale Radziwiłłowi nie dziw, nieraz wielkie przyszło mu kruszyć machiny. Gorzej było kanclerzowi, bo kiedy się mu nie udało w Brześciu, już tém samém wyznawał bezsilność swoją w województwie przed całym światem polskim. Porażka to była dla każdego pana bolesna i okropna.

Po zapustach r. 1751 sądził kanclerz, jak zwykle, assessoryą w Brześciu. Był na sądach wtedy księżę Józef Jabłonowski, uczonej stolnik litewski, później tyle sławny wojewoda nowogrodzki. Skończywszy pracę, Sapieha wyjeżdżał zwyczajem swoim na Wołyń. Nagle w ulicy, którą przyszło mu jechać, zapaliło się; wziął to sobie kanclerz za zły prognostyk i w tym celu wysiadł z karety i chciał przejść piechotą przez sam środek ulicy, która się z obu stron już paliła. Starzy Polacy sądzili, że podobnym znalezieniem się łatwo zrównoważą złe przestrogi losu. Ledwie go uprosił doktor nadworny Gesner, aby nie szedł środkiem takiego zaduchu i dymu; dowodził, że to koniecznie wyrzucić musi szkodliwy wpływ na zdrowie. Kanclerz, który miał swoje przesady, starał się inaczej obejść smutne przecucie: powrócił do pałacu i nie chciał już wcale wyjeżdżać na Wołyń. Ale i to się nie udało; pani kanclerzyna miała w tém swoje rachuby i nagliła, aby copredziej wyjeżdżał. Stary pan kodeński nie miał żadnego potomstwa i dlatego Sapiehowie zabiegali zgrabnie około niego. Ignacy, wojewoda mściłowski, miał tylko synów, których chciał zzbogacić testamentem kanclerza; popierał go bardzo gorliwie w Kodniu Michał, wojewoda podlaski, brat rodzony koadjutora wileńskiego, sam bezdzietny. Najstarszy wojewodzie mściłowski Jan, młodzian wielkich talentów, nadzieja rodziny, miał odziedziczyć Kodeń. Kanclerz miał pychę rodu i chociaż z Sapiehami nie trzymał, nie chciał ażeby dobra przechodziły w cudze ręce; najbliższemu swojemu krewnemu po kądzieli, to jest wnukowi z siostry, Chodkiewiczowi, wojewodzie brzeskiemu, chciał zapisać bardzo mało, a wszystko Sapiehom, chociaż dalekim, ale po mieczu krewnym. Kanclerzowa postanowiła zapobiedz temu, ile że nie lubiła Sapiehów. Bojąc się tedy lada chwila ich nawidzin, wyprawiła męża na Wołyń, nie przez miłość dla Chodkiewicza, ale spodziewała się, że dla siebie wymoże jakieś zapisy. Była to kobieta bardzo chciwa i wszystkiemu lubiła rządzić za życia męża, lękała się utraty władzy i dochodów po jego śmierci. Woląla sama, gdyby już tak wypadło, ustąpić z Kodnia dalszym Sapiehom.

Stanąwszy na Wołyniu, kanclerz często się alterował, trudno objaśnić z jakich powodów, z domowych czy publicznych. Jadł do tego wiele poziomiek z mlekiem i oziębił się. Przystąpiła więc do niego tak nagła gorączka, że gangrena wdała się natychmiast wewnątrz. Doktor na to nic nie poradził i stary kanclerz umarł 5 lipca 1751 r. w Czarnobylu. Żył lat 75. (Janocki, Lexicon der jetzt lebenden gelehrten Pohlen).

Na wiadomość o tej śmierci ucieszył się serdecznie księżę Fryderyk Czartoryski, który został kanclerzem, ale za to cała rodzina sapieżyńska zawrzała wojną. Znalaziono albowiem w papierach Sapiehy testament, który strony podrażnił. Przewidywał kanclerz, że zapisy dobr samych na rzecz Jana, wojewodzica mściłowskiego, obudzą wiele zazdrości, więc obszedł krewnych i nie zapisał im ani Kodnia, ani dobr brzeskich, to jest Kopyła i Wierchowicz, tylko tak wielkie summy na tych wszystkich dobrach, że się równały prawie ich wartości. Kanclerzyna wdowa i matka Chodkiewicza, wojewodzica brzeskiego, Czapaska, która była już wtedy za drugim mężem podskarbinem ziem pruskich, chciały zwać taki testament. Pani Czapaska sprowadziła w tym celu do siebie matkę pierwszego swego męża, siostrę rodzoną kanclerza, Chodkiewiczową, starościnną błudeńską, Cecylią Sapieżankę. Zdawało się, że za wielka to koalicja praw

(*) W tém miejscu przypada rozdział obejmujący wymienienie fundacyj Jana Fryderyka Sapiehy i niektórych szczegółów jego żywota domowego, który autor życiorysu w udzielonym nam rękopisie pominął. (Przyp. red.)

niewątpliwych, przeciw przywłaszczeniu. Ale zręczność wtedy wszystko potrafiła. Sapiehowie wszyscy uciekli się do łaski nowego księcia kanclerza, który bardzo łatwe położył warunki, pod jakimi ofiarował swoje pomoc. Pogodził się z Matuszewiczami, a co główna, ze stolnikiem brzeskim i chciał dla niego mieć wyższy urząd w grodzie czy ziemstwie. Gdy w tym celu, żeby pana ująć, Karol Sapieha, wojewoda brzeski, wszystkich urzędników ziemskich ściągnął do Wysokiego litewskiego dla kombinacji, stało się jak chciał książę; wojewodzie mściłowski osiadł stanowczo w Kodniu. Był to mąż sławny w owych czasach wojewodzie mściłowski, Elżbiety z Korczaków-Branickich, i zięć księcia Kazmirza Nestora Sapiehy, marszałka sejmu czteroletniego.

Kanclerzyna wdowa umarła w grudniu 1756. (Kuryer Polski, z r. 1756 nr. 178.)

16 lutego 1861.

Julian Bartoszewicz.

RUCH DZIENNIKARSKI W GALICYI.

Lwów dnia 4 marca 1861 r.

Mimo że już dwukrotnie wspomnieliście o zgonie Łozińskiego, dorzucam jeszcze i z mej strony słów kilka. Zgon jego w dniu 30 stycznia r. b., poprzedzony okolicznościami romantycznymi, obudził ogromne współczucie dla niego. Umarł z przeziębienia mózgu, nie będąc bowiem wyleczony dostatecznie, opuścił szpital przedwcześnie i narażał się na działanie mrozu silnego. Powodu zgonu jego dochodzi sąd karny.

Łoziński urodził się r. 1836 w Rudkach w Samborskiem, z ojca Walerego i matki z Lewickich. Do gimnazjum uczęszczał w Samborze; wydano go ze szkół, z powodów nie przynoszących uszczerbku zaletom jego. Syn ubogiej zaściankowej szlachty, nie miał sposobności kształcenia się domowego, opuścił więc Sambor i osiadł we Lwowie, gdzie zrazu pracował przy redakcyi Gazety Lwowskiej, zaś ostatniemi czasy był kronikarzem *Głosu*. Całe dalsze wykształcenie był sobie sam winien. Brak systematycznej nauki przebiegał we wszystkich jego pracach; brak ogłady towarzyskiej, pewna szorstkość w obejściu i porywczosć w działaniu, znamionowały charakter jego. Obok sarkastycznego dowcipu, miał serce najlepsze; chętny, uczynny i z najzupełniejszym wylaniem się dla przyjaciół, ściągał nieubłaganym sarkazmem warstwę napływowej ludności. Zaledwie liczył lat 24, a już od ośmiu lat zapelniał pracami swemi pisma lwowskie czasowe: *Telegraf* 1853, *Przyjaciel domowy* 1853, *Nowiny* 1854—6, *Dziennik literacki* 1856—8, *Rozmaitości lwowskie* 1856—9, *Czytelnia dla młodzieży* 1860, *Kółko rodzinne* 1860, *Dzwonek* 1859—60, *Głos* 1861. W drobnych humorystycznych powiastkach był niepospolitym pisarzem, a pisał je za jednym pociągnięciem pióra, bez namysłu, bez trudu. Znakomitami są jego powiastki dla ludu, umieszczone w *Dzwonku*, z których jedną kalendarz poznański na r. 1861 przedrękał. Studium humorystyczne *Żaby*, przełożono na niemieckie i czeskie. Z obszerniejszych powiastek napisał: Pan Stanisław Białobocki, Szlachcic hodczkowski, Proces o dziwotwór, Szaraczek i karmazyn, Zaklęty dwór, Dwie noce, Czarny Matwij. W powieściach swoich kreślił postacie szlachty zaściankowej, postacie rubaszne, oryginalne, jowialne, postacie jakich w tym rodzaju nie napotykamy u żadnego powieściopisarza. Na premium napisał zbiór powiastek dla ludu p. t. Ludzie z pod słonianej strzechy. Powiastki te są w druku. Próbował sił swoich i na polu historycznym, wiedziony światłą radą krewniaka swego, Kar. Szajnochy. I tak napisał rozprawy: Gordona Patrika pamiętnik o pobytku w Polsce, Izabella Zapolska opowiadanie historyczne. Na polu dramatycznym wystąpił z komedjami: *Verbum nobile* i *Parafianka we Lwowie*, lecz mniej szczęśliwie; brak znajomości mechanizmu scenicznego i dowcip zbyt ostry, były wadą tych prac młodego pisarza. Aby uczyć przyjaciela nagrobkiem, redaktorowie Kółka, Jan Zachariasiewicz i Aleks. Szedler, przeznaczili całkowity czysty dochód ze sprzedaży powieści *Czarny Matwij*, (którą nabyli od Łozińskiego na własność) na obmyślenie mu pomnika. Z czterystu pozostałych egzemplarzy, zbierze się tyleż złotych reńskich. Czyn ten szlachetny nie potrzebuje pochwał.

Przyjacielem serdecznym Łozińskiego był Bruno Bielawski. Jednakowe temperamenta, jednakowe usposobienia, łączyły ich ze sobą. Razem mieszkali, razem widywać ich można było na przechadzkach, a kiedy w jesieni r. z. Bielawski wraz z Kornelem Ujejskim wyjechał, na pamiątkę fotografowali się w jednym obrazie. Bruno Bielawski zginąć miał d. 20 stycznia r. b. w Jassach w pojedynku, strzelając się o kilka kroków. Śmierć jego o tyle poprzedziła tragiczny

zgon przyjaciela, że tenże przed godziną skonania dowiedział się o niej przypadkowo. Bielawski kończył gimnazjum w Krakowie; wtedy to pisywał w r. 1854 wierszyki i korespondencye do *Nowin* i *Gwiazdki Cieszyńskiej*. Później gospodarował u brata na wsi, czas krótki pracował przy bibliotece Ossolińskich, narazie redagował z wielkim talentem przez lat dwa *Dzwonek*, który utrzymywał głównie swemi pracami. Brak wytrwania, usposobienie ruchliwe, odrywały go od zajęć stałych i przerzucały w różnych kierunkach. Nie wytrwał i w redakcyi, opuścił kraj, rzucając się w świat, za popędem chwilkowego postanowienia. Żywość temperamentu i brak panowania nad sobą samym, pozbawiły kraj nasz dwóch uzdolnionych młodych pisarzy, którzy pięknie rozpoczynając swój zawód, mogliby kiedyś jaśnieć w narodzie.

Ze świata literackiego niewiele wieści. Powstało pismo *Głos*, z którym wojują *Przegląd powszechny* i *Dziennik literacki*. Pisma te wzajem zasypują się zarzutami i podejrzeniami niesłusznymi, zamiast trzymać się za ręce. Pisma literackie upadły. Najlepsze pismo czasowe: *Kółko rodzinne*, ustalo w r. z. dla braku prenumeratorów. Podobnie ustał dodatek miesięczny *Czasu*, zaś dodatek tygodniowy do Gazety Lwowskiej przestał wychodzić tygodniowo i zjawia się nieperypodycznie, w miarę zebranych materiałów statystycznych. Wychodzą więc tylko: Przyjaciel domowy, Czytelnia dla młodzieży, Niewiasta, tudzież *Dzwonek*, redagowany obecnie przez J. Starkla i liczący najwięcej prenumeratorów.

Wystawa archeologiczna przychodzi do skutku. Będzie dość obfita, mimo iż niektórzy odmówili udziału. Otwartą zostanie w tym miesiącu i potrwa do czerwca włącznie, więc powinnaby zwabić licznych gości. Będzie ona może magnesem przyciągającym te tłumy, które dają corocznie przez Kraków za granicę, a które o Lwowie ani myślą.

Scena lwowska kwitnie ciągle. Dyrektorowie, jak to mówią, robią wyborne interesa, bo teatr bywa przepelniony. Niedawno grano na benefis Kalicińskiego: *List żelazny Maleckiego*. Obsypywano grę oklaskami i wywołano autora. Aszpergerowa (w roli matki) i Hubert (w roli ojca) grali wcale dobrze. Beneficyant w roli krajczego zbyt krzyczał i deklamował. Umiano role, więc sztuka powiodła się lepiej niż przypuszczać można było.

O nowych wydawnictwach niewiele także słyhać. Książ *Golian* i professor *Dietl* wystąpili z nowymi broszurami okolicznościowymi; ostatni pisze bezimiennie i pod pseudonimem. Towarzystwo naukowe prowadzi dalej swój słownik prawniczy, którego podstawą jest praca St. Zarahskiego, już ukończona. Wartołoby znieść się z *Wal. Dutkiewiczem*, mającym zebrany słownik prawniczy polski. Towarzystwo naukowe zamierzyło wydawać pismo lekarskie. Z uwagi że w Warszawie wychodzą dwa lekarskie pisma czasowe, a *Roczniki Tow. N.* oddawna przeważnie przepełniane są lekarskimi i przyrodniczymi rozprawami, wypadaloby obrócić fundusze raczej na wydawnictwo czasopisma prawniczego, którego dotąd nie mamy, a o którego potrzebie pisałem dawniej w *Tygodniku* *Illustrowanym*, wykazawszy że nie zbywałoby na współpracowników. We Lwowie wychodzić ma nowe pismo humorystyczne p. t. *Kuźnia*. O koncessyą stara się drukarz Poręba, a redaktorem ma być podobno powieściopisarz J. Dzierzkowski. Słyhać o przygotowanym do druku cztero-tomowym dziele, obejmującym katalog naukowy wszystkich pism polskich, albo też obcych przez Polaków lub o Polsce napisanych, od r. 1830 do 1861 włącznie, a to w rodzaju wielotomowego foliowego dzieła *Kajzera*, wydanego dla Niemiec. Potrzeba dokładnego katalogu księgarskiego nawet w świecie handlowym księgarskim uczuwać się daje. Gdyby utworzyła się spółka księgarzy do wydania dzieła tego, możnaby je zwiększyć wydaniem katalogu dzieł wszystkich wyszłych od r. 1800 aż do dnia dzisiejszego.

Tom 4y dzieła Szajnochy *Jadwiga* i *Jagiello* wyszedł z druku. Przygotowują się też *Szkie*, nakładem K. Wilda. Tenże księgarz ma wydać w osobnym zbiorze powieści *Wal. Łozińskiego*, tudzież wydaje popularną historyą polską, napisaną przez zdolnego poetę J. Szujskiego. Księgarz Czech wydał *katalog książek polskich*, niby bibliograficzny, ułożony przez Franciszka Mikulskiego. Katalog ten nie ma najmniejszej wartości bibliograficznej, mimo że go *Czas* pochwalił. Obejmuje chaos dzieł z zeszłego i bieżącego stulecia, nawet dzieła przez obcych wydawane za granicą, nie dotyczące polskich rzeczy. Jest on po prostu katalogiem najnieładniejszym, spisany nie według abecadłowego porządku autorów (jak należało uczynić), lecz według alfabetu tytułów dzieł, co utrudnia przegląd całości. Takie katalogi produkują księgarze warszawscy corocznie dość obficie.

ATEŃCZYK.

W srebrnej tunice, z wieniec na czole
Grek igra w dziewic jonijskich kole;
Ułudnym słówkiem ucho im pieści,
Pod woniejącą z girland kotarą
Za stół biesiadny dziewoje mieści,
I pije zdrowie ich — złotą czarą!

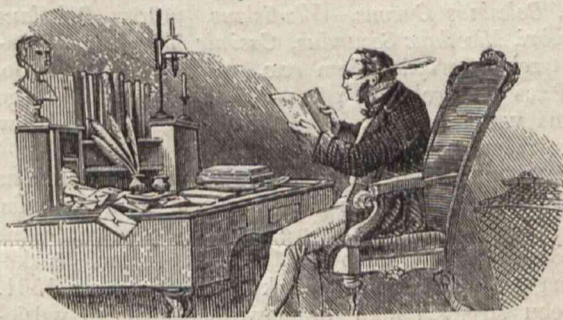
Tak dziś; lecz jutro, — nie w kolumn cienia,
Nie na niewolnic białym ramieniu
Zaspia zmiennik; — on płaszcz z purpury
Rozwiał, i posród wesołej rzeszy,
Jakby przescigał podniebne chmury,
Na olimpijskie igrzyska spieszy.

Wrócił. Poważny jak morze śpiące,
Spartańską szatą kędziory lśniące
Przykrył, — i idzie w ateńskiej szkole
Z słów Izokrata czerpać karm' ducha,
By z niw cywizmu pieląc kąciole,
Znow się do ofiar przykuć łańcucha!

Piers się zatliła; wtém od Platei
Wichr nowych bojów pędzi w zawiei
I maratońskie rozkrywa kości;
Zerwał się, poszedł i legł sród bitwy,
A bracia żywi — do bram wieczności
Szlą za rycerzem łzawe modlitwy!

O Ateńczyku, ty czarów synu,
W róże i bujne wienice z wawrzynu
Zdobiles skronie ręką płomienną;
Zmienność twa — dzisiaj skarbnica ludów,
Zkąd pod tą wieków mgłą szarą, senną,
Błyszczą świat wielkich duchowych cudów!

Edward Chłopicki.



Na kościół w Sulisławicach, w gub. i pow. sandomierskim, otrzymaliśmy rs. 10 od p. R. S. z Ukrainy.

Panom Stan. K. w Brześciu kujawskim, Aleks. D. w Piotrkowie i B. G. z pod Sochaczewa dziękujemy najuprzejmiej za nadesłane wiersze i rebusy; użytku z nich jednak zrobić nie możemy.

Panu R. w Dar. Życzenia Pańskie spełnią się może później. Niepodobna od razu wymagać wszystkiego.

Panu M. C. w Zygrach pod Szadkiem. Artykuł p. t. „Ostatki u sieradzkiego ludu“, jako spóźniony, zostaje do dyspozycji.

Panu F. Łab. w Warszawie. W nadesłanym przez pana rozwiązaniu zadania szachowego do nagrody, w 9tém posunięciu czarne zamiast królem D 7—E 6, mogą pojechać koniem B 7—D 6, co naturalnie zmienia i posunięcia dalsze, a tęp samym rozwiązaniem podług warunków wskazanych czyni niemożliwem.

ZABYTKI W BRZEGU SZŁĄSKIM.

Pierwsze wiadomości dotyczące się miasta Brzegu szląskiego (Brieg) sięgają r. 1096. Podług dokumentu wydanego przez Henryka Brodatego, a pochodzącego z r. 1235, miasto, wtedy *Visoki breg* zwane, rozciągało się po nad lewą stroną Odry; przeciwległa prawa, w gminu pod nazwą polskiej znana, przedstawiała obszerne błonie, które pokrywała rzeka, kiedy wychodziła z niskich swoich brzegów.

Z budynków mieszczących się w témże mieście, zamek przedewszystkiem zasługuje na uwagę. Ze wspinałości tego domu książęcego, któremu niegdyś żaden inny w całym kraju szląskim nie zrównał, mało co doszło do czasów naszych. Od chwili wygaśnięcia rodu, który tu świetnie panował, i przemienienia miasta na miasteczko prowincjonalne, ani cesarze austriacy, ani królowie pruscy, pod władzę których Brzeg dostał się później, bynajmniej nie myśleli o naprawie gmachu poprzedników swoich, a Fryderyk Wielki, po zajęciu prowincyi, obrócił zamek na szpichlerz!

Z trzech pozostałych boków zamku, portyk części frontowej, pyszny zbytek architektury XVI wieku, najmniej został uszkodzony przy pożarze, który większą część miasta obrócił w perzynę. Jest to zabudowanie z linii frontowej wyskakujące, o trzech piętrach po trzy okna mających, wykonane z piaskowca

do rzeźby wysmienicie przydającego się. Po obu stronach w całej wysokości swój opasany jest szerokiemi filarami, a cztery słupy porządku korynckiego, bogato ozdobione, dźwigają gzyms i galeryę. Nad wchodem, składającym się z bramy większej dla przejeżdżających, a mniejszej dla pieszych, umieszczono posąg Jerzego II w birecie i płaszczu książęcym, i małżonki jego Barbary, z domu margrabianki brandenburskiej. Między nimi znajduje się herb z orłem szląskim i tarczami brandenburskimi, powyżej nich zaś, to jest między drugim a trzecim piętrzem, w trzech polach czterema pilastrami utworzonych, widać w dwóch rzędach popiersia 24 Piastów rzeźbiarskiej roboty, powleczone kolorami, dziś jeszcze dość żywe. Filary i gzymsy pokrywa mnóstwo ozdób arabskowskich, wykończonego rysunku i starannego wykonania. Popiersia, nad którymi czytamy sentencje: *Verbum domini manet in aeternum. Si deus pro nobis, quis contra nos? Justitia stabil thronus*, przedstawiają trzynastu książąt szląskich i 11 panujących z rodu Piastów, następującymi napisami oznaczonych: *Piast. Crusvicen., Semovitus, Lesko, Zemomistaus, Miceslaus, Wladislaus Hermanus, Boleslaus Curvus, Wladislaus*, tudzież *Boleslaus Chrobri, Miceslaus Secundus, Casimir Monachus*. Ostatni trzej, z przydomkiem *rex*, noszą koronę i berło, inni zaś *monarchami* są nazwani. Bolesława Śmiałego niema w tym gronie, gdyż nie należy do przodków księcia Jerzego II.

Przestępującemu próg portyku, a wchodzącemu na podwórze, smutny przedstawia się obraz zniszczenia: liche budynki drewniane zajmują miejsce, gdzie dawniej wznosiły się pyszne galerye. Najmniej uszkodzona jest tylna strona portyku, pochodząca z r. 1554. Po obu stronach łuku bramowego, śmiało a wdzięcznie zagiętego, widać herby Lignicy i Brzegu, kolorami pokryte, tudzież hełmy, sajdaki i inne przybory wojenne, pięknej roboty. Potrójnych galeryj okalających podwórzec, ani śladu już niema, ale na drugim i trzecim piętrze znać jeszcze drzwi i okna, ozdobione słupami, łbami i t. p., dziś zamurowane. Nad schodami marmurowymi, wiodącymi na pierwszą ga-

leryę, sterczą głowy czterech cesarzy rzymskich w płaskorzeźbie, a po lewej ich stronie sześć innych głów, między którymi są i kobiece. Na ścianie pokazują się słabe ślady obrazu przedstawiającego polowanie na dzika.

wo genealogiczne osobliwszego rodzaju. Jerzy II i Barbara trzymają gałązkę, na odroślach której znajdują się wizerunki jedenastu ich potomków.

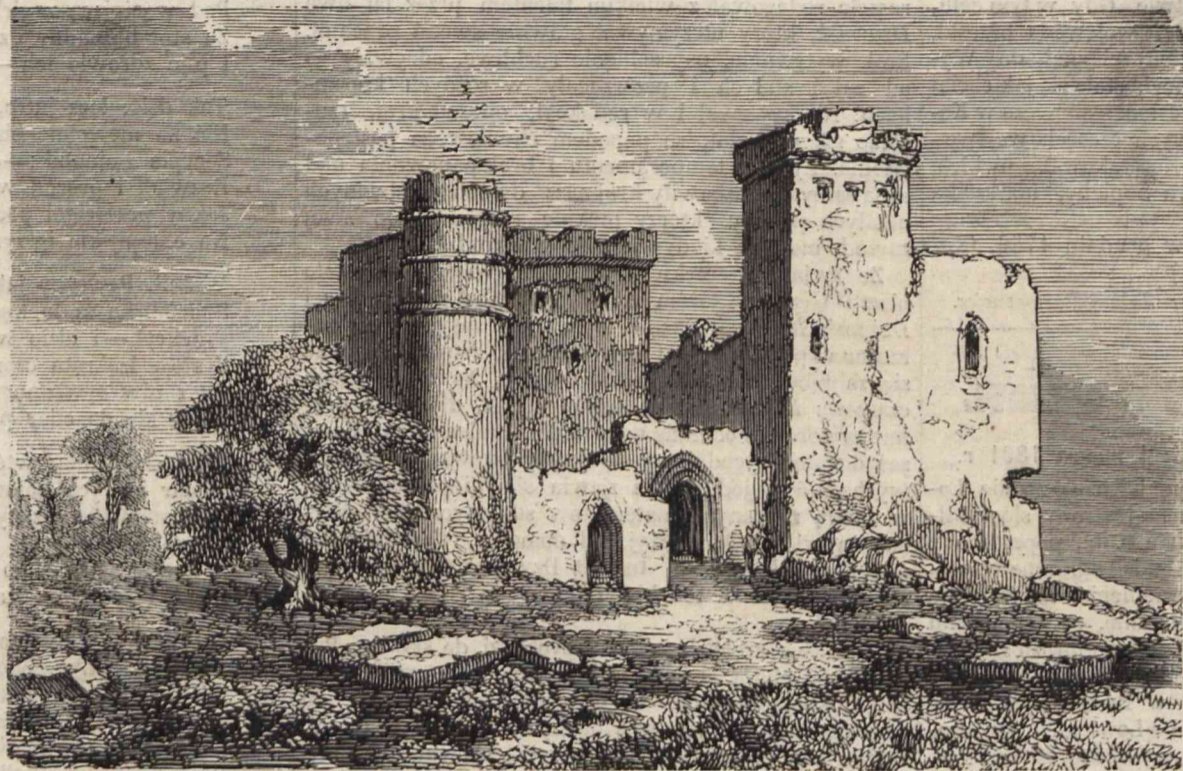
Inne zabudowania do zamku należące, jakoto: zbrojownia, masztalernia, ujeżdżalnia i t. p. runęły razem z głównym gmachem, a doszły czasów naszych tylko zwałiska, zamieszkałe niegdyś przez potomków polskich Piastów.

Z tego samego czasu co zamek, pochodzi i kościół zamkowy *św. Jadwigi*, który ze skromnej kapliczki w roku 1368 wyniesiony został na kościół katedralny. Książę Ludwik I założył piękny ten przybytek i wybrał go na miejsce wiecznego spoczynku dla siebie i potomków swoich. W roku 1534, po oddaleniu kapituły, przeszedł w ręce ewangelików, którzy w nim odprawiali nabożeństwo aż do roku 1675, t. j. do skonu księcia Jerzego Wilhelma, ostatniego z rodu Piastów.

Najciekawszą pomiędzy ozdobami tego domu Bożego jest bez zaprzeczenia *posąg św. Jadwigi*, z białego piaskowca wyciosany. Podług mniemania archeologów, jest on najdawniejszym ze wszystkich tego ro-

dzaju zabytków, nietylko na Szląsku, ale i gdzieindziej, a rzut fałdów sukni, zbliżający się bardzo do starożytnego, w rzeczy samej przypomina okres przedgotycki. Posąg w całym ułożeniu swoim wiele ma podobieństwa do figur apostołów znajdujących się w katedrze kolońskiej, a pochodzących z XIII stulecia. Rzeźbiarz przedstawił świętą niewiastę w kwiecie młodości, z twarzą opasaną kędziorami z pod kwefu wychodzącymi, ale bez kościółka, bez figury Matki Boskiej i bez trzewików, trzymającą jedynie książeczkę w lewicy, na którą pokazuje prawą ręką. Charakterystyczny ten szczegół dowodzi dokładnej znajomości podania, bo jak wiadomo, *św. Jadwiga* młode lata swoje przepędziła w klasztorze w Kitzingen, (małym miasteczku na prawym brzegu Menu, niedaleko Würtzburga), gdzie sposobem wtedy niezwykłym zapoznała się z prawdami pisma świętego.

Komu zawdzięczamy posąg w drzeworycie tu przedstawiony, niewiadomo; tyle jednak pewna, że twórca jego nie należał do szczeplu słowiańskiego, lecz raczej pochodził z zachodnich Niemiec. Za tym wnioskiem przemawia kostkowata forma głowy posągu.



RUINY ZAMKU W BRZEGU SZLĄSKIM. (Rys. Chotomski, ryt. w drzeworytni Tyg.)



POSĄG ŚW. JADWIGI W KOŚCIELE KATEDRALNYM w Brzegu szląskim.

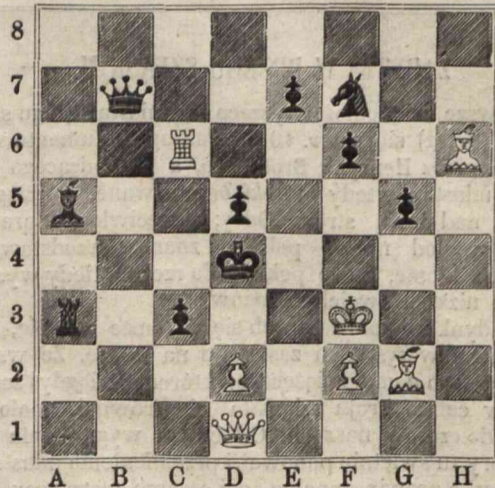
Zachodnia strona zamku, składająca się z jednego tylko piętra, po bokach wieżycami osłonią, zupełnie jest zniszczoną, trzy inne zaś, trzech-piętrowe, dotąd jeszcze stoją. Strona południowa w r. 1804 do pierwszego piętra zgorzała, wyższa jej część zatem jest nowa. Cały budynek, dziś pokryty prostym dachem ceglany, służy, jak już wspomnieliśmy, za szpichlerz, w dolnym więc chyba piętrze pozostało jeszcze nieco z dawnego urządzenia. Uderza tu między innymi drze-

SZACHY.

ZADANIE LVI.

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 55.

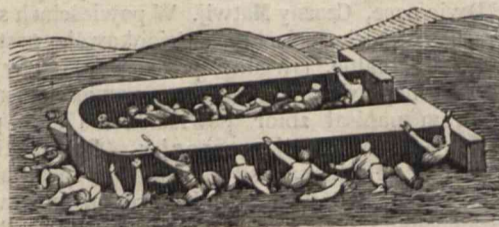
Białe.

Czarne.

- 1) G 3 — G 7 1) H 8 — H 4 bióra.
- 2) F 7 — F 8 (koń) 2) D 7 — F 8 bióra.
- 3) G 7 — C 7 bióra + i mat.

Gdyby czarne nie były konia F 8, dostałyby mata tymże na D 7 lub E 6.

REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 77.

Nie jeden nurza się w kał, a marzy że go otacza aureola zastugi.